

VIRGIN SNATCH "The Art of Lying"

(Mystic, 2005)

VIRGIN SNATCH

art of lying

Już tam ojciec do swej Basi mówi zapłakany, miał tu wczoraj grać Testament – koncert odwołany. Odwołany, nie odwołany, gdyby podmiot liryczny wiedział, że da się zastąpić ekipę Chucka Billy'ego ekipą Zielonego, inaczej by pisał. Ojciec by nie płakał, Basia nie współczu-

ła, koncert by się odbył, co prawda gwiazdą wieczoru zamiast Testamentu zostałby polski Virgin Snatch.

„The Art of Lying” to płyta, na której aż roi się od wpływów grupy zwalistego Indianina, począwszy od riffów, aż po nastrój. Bo weźmy początek płyty. Zaczyna się „Deprived Of Dignity” a ja się zastanawiam, czy na „The Gathering” nie ma kawalka, którego przypadkiem bym nie znalazł? Testamentowe bicie, testamentowy wokół, testamentowe riffy, testamentowe... wszystko. Dosłownie deja vu. Wokół Zielonego robi wrażenie, jakby to Chuck Billy zaczął się w studio i sam nagrał partie wokalne. Zielony lubi pogrowlować, ale robi to czytelnie, tak że słychać słowa, nie ma bulgotów, a ten growl również jest pod Billy'ego. Wolę jednak, gdy tak jak w „Deprived Of Dignity” czy „My Avenger” używa czystej barwy, nie ujmuje to ostrości muzyce, bo to wciąż mocny głos, a tylko dodaje thrashowego smaczku. Bo, nie da się ukryć, „Art Of Lying” to płyta thrash metalowa, na wskroś, wzdłuż i w szerz. Pełna ekstremalnych wrażeń dźwiękowych, płyta dojrzała, nagrana na światowym poziomie, bez kompleksów i fałszywego wstydu. Takie skrzyżowanie „The Gathering”, szczypty innych płyt Testamentu i paru ziarenek szwedzkiego death metalu. Ten death jest tylko przyprawą, tak, że nie można nazwać „The Art Of Lying” albumem thrash/deathowym. To jest thrash.

Wiedzą panowie, jak przyfasolić, jak stworzyć muzykę, która będzie kopać po dupie i po jajach. Doskonałe solówki dopełniają aktu sonicznego morderstwa. Trzeba przyznać, że skoro już porównujemy tę płytę do „The Gathering”, są to sola o wiele lepsze, niż te, które na tamtej płycie zagrał James Murphy. Jedynym uspokojeniem na „The Art Of Lying” jest ballada „Trust”, trzeba przyznać, że dość ciekawa, z interesującą melodią i wciągającą. Może w ten sposób Virgin Snatch dotrze do małolatów? Podobać się może także klimatyczny początek utworu tytułowego, który zaczyna się spokojnym fragmentem gitarowym, a następnie zmienia w wolny walec, by w końcu stać się typowym, thrashowym buldożerem. Cieszy fakt, że w Polsce takie kapele powstają, i że nie wszyscy myśląc thrash, kierują swoje oczy za zachodnią granicę. Dobrze, że ktoś oprócz Horrorscope patrzy za Ocean, w końcu wzorce amerykańskie są bardziej szlachetne.

Jeden mam tylko problem z tym albumem, większy niż w przypadku podobnego stylistycznie ostatniego albumu Susperii. Mianowicie, że mocno, naprawdę mocno śmierdzi on Testamentem. Jest to płyta dobra, w swoim gatunku nawet więcej niż dobra, ale podobieństwa do ekipy Chucka Billy'ego są uderzające. No i co ja mogę?